

## Relacja Wałbrzych — Kłodzko

— Przepraszam, czy tu wolne? — zapytała męska głowa, wsunięta przez drzwi przedziału pierwszej klasy.

— Jak widać, proszę pana — niepewny kobiecy głos należał do jedynej osoby w przedziale.

Mężczyzna wsunął resztę ciała do środka i usiadł przy oknie, naprzeciwko nowej towarzyszki podróży. Po niezręcznej wymianie uśmiechów oboje zaczęli się dyskretnie lustrować. Niebieskie, bystre oczy mężczyzny oglądały ukradkiem wielki zielonkawy kapelusz, zasłaniający większość twarzy, prostą suknię oraz kurczowo trzymaną na kolanach torbę. Kobieta spoglądała w tym czasie na zawadiacką, nieogoloną facjatę oraz niedopasowany do szczupłej sylwetki płaszcz, z którego skapywały grube krople wody.

— Uprzedzę pani pytanie — zaczął po chwili mężczyzna mocnym głosem — jestem cały mokry, ponieważ na stacji nie było chociażby kawałka dachu, pod którym spokojnie można by doćmić papierosa, a ja jako okropny nałogowiec zapalić musiałem. Deszcz miał inne plany, ale cóż tak to jest z deszczem, czyż nie? — szarmancki ton i monolog pociągnięty na jednym tchu wyglądał na rezultat długich ćwiczeń przed lustrem.

— Szanowny panie, nawet nie zauważyłam, że jest pan mokry — odpowiedziała kobieta zza zasłony kapelusza i wróciła do pozorowanego patrzenia na przedgórski, deszczowy krajobraz stacji w Głuszycy.

Mężczyzna zdjął płaszcz i odwiesił go na jeden z dwóch przedziałowych wieszaków. W przedziale nastąpiła cisza.

Po kilkunastu minutach monotonnego stukotu kół przedgórski krajobraz zastąpiła nocna czerń. W przedziale zaświeciły się żarówki, które wypełniły go bladym, szpitalnym światłem.

— Bardzo panią przepraszam, czy mógłbym mieć prośbę? — głos mężczyzny wytrącił kobietę z transu.

— O co chodzi? — odpowiedziała zachrypłym od długiego milczenia głosem, po czym odchrząknęła, pokazując przypadkiem brak przedniego zęba.

— Mam wielką ochotę na papierosa — zaczął, udając, że niczego nie zauważył — ale aż do Kłodzka nie będziemy się zatrzymywać. Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli otworzę okno i spalę, wychylony na zewnątrz. Musielibyśmy zgasić światło, żeby konduktor niczego nie zauważył. Albo... Może mogłaby pani stanąć na korytarzu i patrzeć, czy się nie zbliża. Zrobi to pani dla mnie?

— Hmm, no dobrze — odpowiedziała po chwili zastanowienia — ale światła gasić nie będziemy.

— Jest pani wspaniała. Jeszcze jedno, mam na imię Benedykt — powiedział i wyciągnął rękę na przywitanie.

— Marzena — odpowiedziała kobieta i wstała do drzwi, ignorując dłoń mężczyzny.

Benedykt otworzył okno i zapalił papierosa. Zaciągnął się i obrócił, żeby sprawdzić, czy Marzena wykonuje swoje zadanie. Wykonywała. *Teraz albo nigdy*, pomyślał i sięgnął powoli do torby, którą zostawiła dama. Otworzył delikatnie zamek, nie spuszczać jej z oka, i zerknął do środka. Omal nie krzyknął. Zakrzuszył się wciągniętym dymem.

— Wszystko w porządku? — zapytała przygarbiona w drzwiach Marzena, nie oglądając się do przedziału.

— Tak, tak, to tylko taki syndrom palacza — odparł z nerwowym śmiechem.

Zasunął torbę, wyrzucił w połowie spalonego papierosa i zamknął okno. Benedykt liczył dziś na łatwy zarobek, a jedyne, co zarobi, to nocne koszmary. *Czemu tak elegancka, nieszkodliwa kobieta przewoziła w torbie zmasakrowaną głowę?! Trzeba stąd uciekać.*

— Dż, dziękuję bardzo, bardzo mi pani pomogła — powiedział i usiadł na miejsce.

— To była czysta przyjemność. Czemu pan drży? — głos kobiety stał się subtelniejszy, poprawiła kapelusz, tak żeby jeszcze bardziej zasłaniał jej twarz.

— Zmarłem w przeciągu.

— Mam w torbie termos z gorącą kawą, rozgrzeje pana — powiedziała i sięgnęła do zamka.

— Nie, niee dziękuję, obejdzie się. Właściwie to muszę już panią opuścić — powiedział Benedykt i zaczął wstawać.

— Tak miło nam się razem jechało — pod kapeluszem pojawił się słodki uśmiech.

— Tak, ale ja zaraz wysiadam.

— Do ostatniej stacji się nie zatrzymujemy, sam pan tak powiedział.

— Tak, ale to już chyba niedaleko, a ja muszę jeszcze skorzystać z toalety — powiedział Benedykt, pośpiesznie wstał z miejsca i zdarł z wieszaka swój płaszcz.

— Siadaj na dupie złodziejaszku! — w rękach Marzeny nagle pojawił się pistolet.

Benedykt odruchowo podniósł ręce do góry i usiadł w bezruchu. Pierwszy raz od początku podróży zobaczył jej oczy. Jedno z nich było szklane, a skóra wokół niego była poparzona.

— Od początku wiedziałam, co planujesz. Żaden z ciebie palacz, sądząc po palcach, ani dżentelmen z tym proletariackim akcentem i za dużym, kradzionym płaszczem— Marzena zmrużyła oko — I co mam z tobą zrobić, co?!

Benedykt podskoczył przy ostatnich słowach.

— A, ale ja nic nie ukradłem.

— Mojego męża też nie widziałeś? — z ust Marzeny wydobył się głośny śmiech. — To dlaczego masz taką minę?

Benedykt milczał wpatrzony w czarną lufę.

— Rozbieraj się i wyrzuć rzeczy przez okno — palec Marzeny nie ruszył się z cyngla, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech odsłaniający kolejne dziury w miejscu zębów.

— Ale jak to? — Benedyktowi załamał się głos.

— Normalnie. Najpierw płaszcz, jest przemoczony i strasznie cuchnie.

— Nie zrobię tego.

— Wtedy umrzesz.

— A ty pójdziesz do więzienia. Nie jestem idiotą.

— Za to ja jestem prawnikiem. Widać, że nie robisz tego numeru z papierosem po raz pierwszy. Powiem, że chciałeś mnie okraść, może nawet uderzyłeś. I jestem czysta.

Benedykt wciąż milczał, wiedząc, że to prawda. Po kilku beznadziejnych sekundach obrócił się do okna i mozolnie je otworzył. Ze skrzywioną miną wyrzucił trzymany w rękach płaszcz.

— Teraz koszula — powiedziała siedząca za nim Marzena.

Benedykt zaczął powoli rozpinać guziki, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki. Pozbawiony pomysłu zdjął koszulę i wystawił ją za okno. Zimne wieczorne powietrze przyprawiło go o gęsią skórkę.

— Co pan robi?! — w drzwiach pojawił się elegancko ubrany, stary konduktor.

— Ja eee — spojrzał na siedzącą jak gdyby nigdy nic Marzenę — suszyłem koszulę.

Przemokła na poprzedniej stacji.

— Nie powinien pan tego robić przy kobiecie — skarcił go konduktor, spoglądając przy tym na schowaną za kapeluszem Marzenę — Palili państwo? Czuję papierosy.

— Tak, to ja. Palilem, przyznaję się. Nawet nie otworzyłem okna — powiedział Benedykt zdesperowanym głosem.

— Prawdę mówiąc... Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem — konduktor skrzywił twarz w grymasie zdziwienia. — No cóż, w takim razie proszę za mną. Nie mam ze sobą blankietów. Mandat wypiszę panu w lokomotywie.

— Dobrze, bardzo dobrze — wlepił wzrok w czubki swoich butów i wyszedł z przedziału.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, Benedykt wyszedł z niego jako pierwszy, nie chcąc spotkać swojej ciemężycielki. Było mu zimno. Zaczął się zastanawiać z czyjej suszarki na pranie ukradnie kolejny płaszcz, chociaż *może lepiej byłoby na niego zarobić?*

Jakub Łączniak